

Tematy tygodnia

- 10 Ewa Siedlecka
Prezydent szarżuje
- 12 Marek Ostrowski
Francja wybrała Macrona
- 15 Adam Szostkiewicz
Episkopat pisze do PiS

Polityka

- 18 Rafał Kalukin
Kto czeka na Tuska
- 22 ROZMOWA ŻAKOWSKIEGO
Z dr. **Maciejem Bartkowskim**
o ruchach społecznych
i piątej fazie KOD

Społeczeństwo

- 26 Agnieszka Sowa
**Dlaczego Polki nie akceptują
swojego wyglądu**
- 30 Ewa Wilk **Koniec inteligentów?**
- 34 Marta Mazuś
Syryjczycy z Oławy
- 36 Violetta Krasnowska
Tu się przemyca ludzi
- 38 Paweł Walewski
Dzieci boją się szpitala
- 40 Osobliwy polski wzorzec
prawdziwego mężczyzny
– rozmowa
z dr. hab. **Wojciechem Śmieją**

Rynek

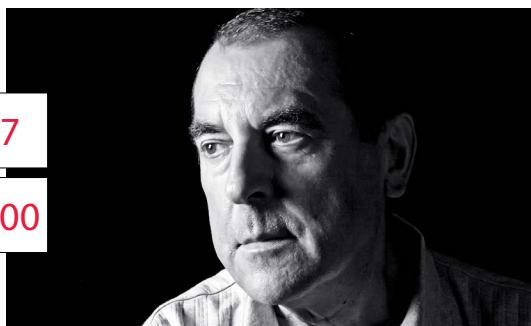
- 44 Adam Grzeszak CO PO PiS
**Kontynuować
megalomańskie projekty?**
- 48 Cezary Kowanda
Złodzieje bitcoinów
- 50 Ryszard Bugaj OGLĄD I POGLĄD
Podatki muszą być nierówne

Świat

- 52 Jędrzej Winięcki
KOREA PÓŁNOCNA
Kim mierzy, Trump grozi
- 55 Tomasz Zalewski USA
**Telewizja FOX
zwalnia gwiazdy**
- 58 Maciej Okraszewski RPA
**Sprawa Walusia
ciągle dzieli RPA**
- 60 Adam Krzemiński ESEJ
Historycy biją się o Europę

Historia

- 64 Marian Turski
**Laureaci Nagród
Historycznych POLITYKI**



7

100

Zdzisław, Zdzich, Zdzisio



12

Meteor Macron



26

Polka wątpi w siebie



44

Wielkie budowy PiS

- 66 Stanisław Calik
**Zacieranie śladów
po zbrodni w Charkowie**

Nauka

- 70 Agnieszka Krzemińska
Dzieje na mapach zapisane
- 73 TECHNOECHO
- 74 Edwin Bendyk
**Łap złodzieja,
zanim ukradnie**

Kultura

- 80 O życiu w kokonie rzezi
– rozmowa z **Arkadiuszem
Jakubikiem**, aktorem,
reżyserem i wokalistą
- 83 Sebastian Frąckiewicz
**Zwierzęcy świat
dla miejskich dzieci**
- 84 Aleksandra Żelazińska
**Literatura
na internetową modłę**
- 87 KAWIARNIA LITERACKA
Piotr Paziński
- 88 Janusz Wróblewski
**Zwykli ludzie
Heleny Třeštkovej**
- 90 Dorota Szwarzman
**Dewastacja
warszawskiej opery**
- 93 Mea Pulpa
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

- 96 Ryszard Wolff
**Wyznawcy teorii
o płaskiej Ziemi**
- 100 **Nadawanie znaczeń**
ZDZISŁAW PIETRASIK (1947–2017)
- 104 **Prawo i wiersze**
WIKTOR OSIATYŃSKI (1945–2017)

Na własne oczy

- 108 Juliusz Cwieliuch,
fotografie Maga Sokalska
Polak lubi siedzieć u Niemca

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 5 Ludzie i wydarzenia
- 76 Afisz • 99 Do i od redakcji
- 105 Passent • 106 Chutnik i Plebanek
- 107 Tym • 114 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Polska odgrywa rolę

Międzynarodowa rola Polski wzrosła do tego stopnia, że wszyscy o niej mówią i piszą. Bez uwag na temat sytuacji w Polsce nie może się odbyć w Europie żadna międzynarodowa konferencja, unijny szczyt czy kampania prezydencka. Polskę odwiedzają rozmaite europejskie komisje w celu przyjrzenia się wprowadzanemu w niej modelowi demokracji, który jest modelem w UE zupełnie nieznanym. A nowo wybrany prezydent Francji uważa, że rola, jaką Polska odgrywa, jest już tak poważna, że powinny zostać na nią nałożone jakieś sankcje.

Osile Polski Francja boleśnie przekonała się, gdy chciała zmusić Polskę do kupienia helikopterów Caracal tylko dlatego, że produkująca je francuska firma wygrała przetarg w tej sprawie. Ale Polska się nie zgodziła, dając jasny sygnał, że jak nie będzie chciała czegoś od Francji kupić, to nie kupi, i co jej Francja zrobi? Szczercze mówiąc, trudno się Polsce dziwić, bo Francja zaśpiewała za te caracale 3 mld euro, podczas gdy z ustalen Antoniego Macierewicza wynikało, że za dwa mistrale wzięta od Egiptu zaledwie jednego dolara. Gdyby nam zaproponowała tę samą kwotę, jestem pewien, że minister Macierewicz wziąłby caracale choćby dlatego, żeby nie kupić ich Egipt, który – jak wiadomo – zaraz oddałby je Rosji. Można się



spodziewać, że po takiej demonstracji siły Polski już nikt nie będzie na tyle nierozsądny, żeby Polskę zaczepiać w celu sprzedania jej czegoś, bo będzie wiedział, jak fatalnie może się to dla niego skończyć.

Po agresywnym zachowaniu Francji w kręgach obecnej władzy mówiło się, że nie powinniśmy byli uczyć Francuzów jeść widelcem, bo Francuzi sobie na to nie zasłużyli. Mimo to polski rząd podkreśla, że zależy mu na dobrych stosunkach z Francją. Wyrazem tego jest m.in. nieobsadzenie od roku stanowiska ambasadora w Paryżu, ponieważ szef MSZ nie może znaleźć kandydata na odpowiednim poziomie. Do czego może doprowadzić wysłanie ambasadora na nieodpowiednim poziomie, najlepiej świadczy nieszczęsny przypadek polskiego ambasadora w Berlinie, dlatego dobrze, że szef MSZ oszczędził Francji podobnego dramatu. To miły gest i miejmy nadzieję, że Francja go doceni.

Na usprawiedliwienie Polski trzeba powiedzieć, że nie dysponuje ona obecnie odpowiednimi kandydatami nie tylko na ambasadorów, ale także na inne wysokie stanowiska w państwie, które z powodu braku kandydatów na jakimś poziomie muszą zajmować kandydaci zupełnie się nienadający, za to będący pod ręką.

Pan prezydent powiedział



Jerzy Baczyński

Przy okazji wyborów we Francji mogliśmy się przekonać, jak ryzykowny politycznie jest system prezydencki, jak wrażliwy na przebieg kampanii, ale także jak istotne są ustrojowe relacje między silną prezydenturą a parlamentem i pozostałymi instytucjami państwa. Na sugerowane przez Andrzeja Dudę pytanie w ewentualnym przyszłym referendum konstytucyjnym o to, czy wzmocnić władzę prezydenta, jedyna poprawna (i kompletnie bezużyteczna) odpowiedź brzmiałaby: to zależy. Także od tego, kogo sobie na tym stanowisku wyobrażamy.

W polskiej konstytucji prezydentura jest tak umocowana, że choć ogranicza realną władzę głowy państwa, pozwala gromadzić poparcie środowisk znacznie szerszych niż własny obóz polityczny. Funkcja prezydenta jest w znacznej mierze osobista, nie podlega partyjnej kontroli, kadencja jest nieskracalna, ochrona i pensja dożywotnie, ba, nawet perspektywa reelekcji jest tym pewniejsza, im szersze niż jednopartyjne poparcie. Słowem, daje szansę wyjścia z partyjnego przedpokoju. Niestety, Andrzej Duda zgodził się na ograbienie swojego urzędu z wiarygodności i znaczenia, czyniąc go de facto bezwartościowym nie tylko dla państwa, ale nawet dla własnej partii. W jakiś cyniczny sposób Duda miał rację, deklarując ostatnio, że przecież nie jest i nie może być „prezydentem wszystkich Polaków”, bo nie wszyscy na niego głosowali. Ale na tym właśnie polega ustrojowa i moralna istota tego urzędu, w polskiej wersji, że prezydent powinien także wysłuchiwać, reprezentować i choćby symbolicznie dowartościować tych, którzy na niego nie głosowali. Teraz retoryczne pytanie: czy Andrzej Duda, przez już niedługo dwa lata urzędowania, zrobił cokolwiek, wykonał jakikolwiek istotny gest w stronę opozycji, wykroczył choć odrobinę poza najprościej rozumiany interes własnej partii, czy choć raz cofnął się przed złamaniem konstytucji, na którą przysięgał? Pamiętamy być może jeszcze buńczuczne zapowiedzi powołania jakichś pluralistycznych Rad Rozwoju, wielopartyjnych konsultacji w sprawie Trybunału Konstytucyjnego, otwartych debat na temat tzw. reform edukacji i sądownictwa – i co? I pstro – jak pewnie skomentowałby Pan Mariusz z wiadomego kabaretu.

A ndrzej Duda, pod presją kolejnych państwowych świąt, a także pewnie z własnej woli, był ostatnio nadzwyczaj aktywny, co dość zgodnie zostało odczytane jako desperacka próba zmiany wizerunku, który przykleiło mu „Ucho prezesa”. Postać Andrzeja/Adriana, bezskutecznie oczekującego na audiencję u prezesa – choć w kabarecie jakoś sympatyczna i budząca współczucie – jest dawa-

jąca dla wizerunku głowy państwa. Dymisja dotychczasowego rzecznika Marka Magierowskiego zapowiada więc próbę wizerunkowego resetu; być może taki też był najgłębszy motyw propozycji referendum. Trudno przecież uwierzyć, aby Andrzej Duda był na tyle zadufany czy niemądry, by naprawdę sądzić, że może stanąć na czele ogólnonarodowej, ponadpartyjnej debaty o doskonaleniu ustroju państwa (polecam analizę Ewy Siedleckiej na s. 10). Kiedy Andrzej Duda wygrywał wybory, miałem trochę nadziei, że jako pierwszy polityk PiS formalnie niezależny od prezesa, w dodatku młodszy od niego o pokolenie, będzie budował własną pozycję i przyszłość raczej łagodząc, niż zaostrzając polski konflikt polityczny, że stworzy wokół swojego urzędu jakiś ośrodek społecznej refleksji, dialogu, choćby spotkań. Złudzenia przysły, gdy prezydent, pod osłoną nocy, pilnowany osobiście przez prezesa, przyjął ślubowania od bezprawnie powołanych, partyjnych sędziów Trybunału. Ale nawet dziś trudno zrozumieć, dlaczego Andrzej Duda sam odbiera sobie jakiejkolwiek możliwości komunikacji ze środowiskami spoza najtwardszego elektoratu PiS.

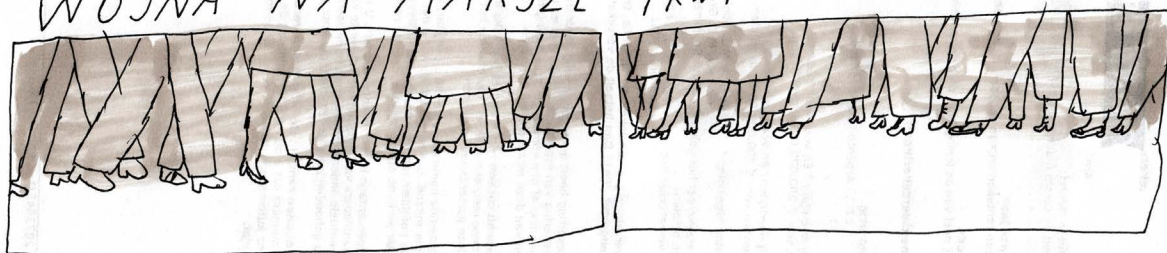
Z ademonstrował to ostatnio po raz kolejny, mówiąc w TVP o przeciwnikach obecnej władzy: „Miejmy tego świadomość, że dzisiaj dzieci i wnuki zdrajców Rzeczypospolitej, którzy tutaj walczyli o utrzymanie sowieckiej dominacji nad Polską, zajmują wiele eksponowanych stanowisk”, ba, „bardzo często jest tak, że ci zdrajcy [którzy strzelali do Polaków w tamtym czasie] mają dziś wpływ na życie publiczne”. Nie chodzi już nawet o prymityzowanie polskiej historii, o zarzuty dywersji kierowane wobec 90-latków, o retorykę, wedle której o „utrzymanie sowieckiej dominacji” walczyli zapewne chłopcy przejmujący z rąk nowej władzy ziemię w reformie rolnej, żołnierze zmobilizowani do LWP czy repatrianci zasiedlający, pod osłoną Armii Czerwonej, poniemieckie terytoria. Najciekawsze jest coś innego: otóż prezydent RP wyraźnie przywołał, sformułowaną kiedyś bodaj przez posła Marka Suskiego, koncepcję tzw. genetycznych zdrajców i genetycznych patriotów.

Jeśli kolejne pokolenia – nie tylko dzieci tych, którzy budowali Polskę Ludową, ale także ich wnuki – przejmują skłonność do zdrady (albo patriotyzmu, bo obecnie, „trzecie pokolenie AK walczy z trzecim pokoleniem UB”), to znaczy, że nie chodzi tu o ewentualny wpływ wychowawczy, zawsze niejednoznaczny, ale o dziedziczne cechy determinujące „genetyczną” wrogość wobec państwa i narodu. To na odległość śmierdzi, przepaszam, jakąś wersją rasizmu; kiedyś takie cechy przypisywano Żydom. Dziś dla „genetycznych patriotów”, reprezentowanych przez prezydenta, sprawa jest pewnie bardziej złożona, bo wrogowie narodu nie noszą chałatów ani pejsów. Jak zatem, wedle tej koncepcji, można ich rozpoznać? Otóż po politycznych wyborach. Jeśli ktoś jest przeciw władzy, to znaczy, że gen zdrady się ujawnił. Na przykład: Jacek Kurski jest niewątpliwie patriotą, Jarosław Kurski zdrajcą – u jednego, choć rodzeni bracia, ujawnił się jeden gen, u drugiego drugi. Na wielkim marszu opozycji 6 maja byli więc prawdopodobnie sami genetyczni nie-Polacy. Jasne? Żartuję, lecz tylko trochę i na smutno.

Fundamentem ideologii i praktyki PiS jest szukanie, wskazywanie i naznaczanie wrogów. We Francji taka retoryka polityczna przegrała. Może tymczasowo, ale dobre i to. U nas wciąż ma się świetnie, podpierana, niestety, przez głowę państwa.

Jan Koza

WOJNA NA MARSZE TRWA





© LUKASZ GLOWALA/FORUM

Dzieci do domu!

Dzieci niepełnosprawne i przewlekle chore nie będą mogły korzystać z zajęć indywidualnych na terenie szkoły, postanowiło Ministerstwo Edukacji Narodowej. Opublikowano właśnie projekt stosownego rozporządzenia.

N atychmiast podniosły się głosy przeciw ograniczaniu praw człowieka ponad 20 tys. uczniów. Nie chodzi tylko o dzieci z niepełnosprawnością, ale również dotknięte nowotworami, wadami serca i wieloma innymi schorzeniami kwalifikującymi do nauczania indywidualnego. Ktoś powie: „W czym problem, przecież wciąż będą przychodzić do nich nauczyciele. Jaka różnica, czy spotkają się w domu, czy w szkolnej klasie?”. Różnica jest diametralna, a problem niebagatelny. – *Taka zmiana to społeczny wyrok. Naszym dzieciom trudniej będzie funkcjonować w społeczeństwie, nawiązywać relacje* – mówi Agnieszka Kossowska, mama 8-letniego Franka. – *Cofamy się do głębokiego PRL*.

Frank urodził się jako wcześniak, ma zdiagnozowany autyzm, niedosłysz, cierpi na epilepsję. Eksperti z poradni pedagogiczno-psychologicznej stwierdzili, że najlepszym rozwiązaniem dla Franka będzie łączenie zajęć. Najtrudniejszych przedmiotów chłopiec miałby się uczyć z nauczycielem w domu, łatwiejszy materiał przyswajałby z rówieśnikami w klasie. Wedle nowych przepisów miałby uczyć się wyłącznie z rówieśnikami. – *A jeśli Franek nie poradzi sobie w klasie, wróci do domu, będzie odcięty od świata* – obawia się pani Agnieszka. Zygmunt Puchalski, nauczyciel i prezes Społecznego Towarzystwa Oświatowego, przekonuje, że niedopuszczenie dzieci

z podobnymi dysfunkcjami do szkoły to jak zabranie im terapii.

MEN zapewnia, że zapis z rozporządzenia został opacznie zrozumiany, nikomu w ministerstwie nie chodziło o wykluczenie niepełnosprawnych dzieci. Marzena Machatek, wiceszefowa resortu, tłumaczy, że dzieci będą mogły przychodzić na kółka zainteresowań, zabawy szkolne, kiedy tylko „zdrowie im na to pozwoli”. Trudno jednak wierzyć w te zapewnienia, znając życie. Nauczanie indywidualne jest organizowane według wskazań lekarza, na podstawie opinii z poradni psychologiczno-pedagogicznej. Ten dokument jest dla szkoły wiążący. Jeśli z przepisów zniknie możliwość łączenia nauczania indywidualnego z nauczaniem w szkole, będzie ono musiało odbywać się w domu.

Zdaniem ministerstwa zmiana jest potrzebna, ponieważ tryb nauczania indywidualnego jest nadużywany. Bywa błędnie wykorzystywany przez szkoły, które w ten sposób nie radzą sobie z problemami wychowawczymi. A które powinny tak się zorganizować, by zapewnić dzieciom pełną opiekę. – *To marginalny problem. Szkoły idą w dobrym kierunku, forma łączenia indywidualnego nauczania z chodzeniem do szkoły sprawdzała się od lat. Nie wylewajmy dziecka z kąpielą* – odpiera Zygmunt Puchalski. MEN przekonuje, że chciałoby odciążyć rodziców dzieci z niepełnosprawnościami, by ci mogli wrócić na rynek pracy, gdy dziećmi zajmie się szkoła. Tyle że w praktyce projekt uderza w tych rodziców. Pozbawieni możliwości wysłania dzieci do szkoły na część dnia, będą zmuszeni zapewnić im całodobową opiekę. – *Nauczyciel przyjedzie do domu jeden lub dwa dni w tygodniu, na kilka godzin. Pozostały czas dziecko musi być z nami. Jak to połączyć z pracą?* – pyta pani Joanna. Jest jeszcze czas, by zrezygnować z nietrafionych pomysłów. Pytanie, czy MEN znów pójdzie w zaparte.

KATARZYNA ZDANOWICZ, TVN 24

Prezydent – ofiara krasomówstwa

Wypadałoby, aby Wielki Mistrz Orderu i zarazem przewodniczący Kapituły Orderu Orła Białego dobrze znał jego dzieje. Prezydent Andrzej Duda, wręczając 3 maja br. order nowym kawalerom, powiedział, że OOB „jest dla mnie wymownym symbolem polskiej wolności. Ponieważ był on przyznawany wtedy, gdy Polska była wolna – rzeczywiście wolna!”. Nasz prezydent albo ma swoją wizję naszej historii, albo padł ofiarą własnego krasomówstwa... OOB nadawano także w okresie zaborów, a więc po utracie przez Polskę niepodległości.

W ustawie konstytucyjnej Księstwa Warszawskiego z 1807 r. zapisano, że „ordery cywilne i wojskowe będące dawniej w Polsce utrzymują się, a król jest naczelnikiem tych orderów”. Był nim Fryderyk August I, król Saksonii i zarazem ksiądz warszawski. Z jego to woli order otrzymał m.in. Józef Wybicki, autor słów naszego hymnu. W ustawie konstytucyjnej Królestwa Polskiego (kongresowego) z 1815 r. też zachowano dawne polskie ordery, zapisując zarazem w pierwszym jej artykule, że „Królestwo

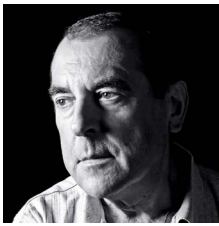


© JAN BIELECKI/EAST NEWS

Polskie jest na zawsze połączone z Cesarstwem Rosyjskim”. Czy wtedy Polska była „rzeczywiście wolna”? Zdaniem prezydenta Dudy zapewne tak, skoro rosyjscy imperatorzy, będący zarazem królami Polski, nadal OOB nadawali (z Polaków otrzymali je m.in.: Jan Henryk Dąbrowski, Adam Czartoryski i Stanisław Staszic). OOB jako order Królestwa Polskiego zniesiony został po powstaniu listopadowym i już jako „Cesarski i Królewski OOB” włączony do systemu orderów rosyjskich.

Wystąpieniu prezydent mówił też o „czystej postaci” OOB. Warto pamiętać, że w jego 212-letniej historii były okresy, kiedy orderem kupczono, uzupełniając opłatami za jego nadania deficyt w królewskiej kasie, kiedy order nadawano na polecenie protektorki Katarzyny Wielkiej bądź wręczano osobom, które potem mało chlubnie zapisały się w historii świata i swoich narodów. I działało się to także, gdy OOB nadawali polscy władcy i prezydenci.

M.H.



Zdzisław, Zdzich, Zdzisio

Zdzisława Pietrasika, krytyka filmowego, literackiego i teatralnego, wieloletniego szefa działu kultury POLITYKI, wspominają artyści i dziennikarze.

Bardzo go ceniłam za gust literacki i filmowy. Miał niekonwencjonalny i niepodrabialny sposób oceniania, kierował się rozsądkiem i żelazną logiką. Na zawsze zapamiętałam, jak mi mówił w jakiejś rozmowie, że w sztuce najważniejsza jest opowieść, interesujący sposób patrzenia na rzeczywistość, na temat. Opowieść może być poprowadzona realistycznie albo nie, ale ma po prostu do mnie dotrzeć. Jak będziesz przyjmowała rolę – radził mi na początku mojej kariery – niech ci reżyser jednym zdaniem opowie, co chce zrobić. Po tym zorientujesz się, o czym naprawdę chce zrobić film. Człowiek wspaniały, otwarty, zawsze mogłam zadzwonić z jakąś wątpliwością.

KRYSTYNA JANDA, AKTORKA, REŻYSERKA

Odszedł nasz kolega pokoleniowy, z którym łączyła nas miłość i zrozumienie filmu. Pisząc lekko, traktował kino z powagą. Znał doskonale historię kina, przeszedł przez polski repertuar lat 60., przez wszystkie nowe fale. Miał doskonałą pamięć. Uważałem go za wybitnego krytyka. Jego recenzje były wyważone, sprawiedliwe, bez zajadłości i poczucia, że tylko on ma rację. Pisał również bardzo ciekawe artykuły zbiorcze omawiające na szerszym tle różne zjawiska kulturowe. A kiedy robił wywiad, to była nobilitacja. Przyjacielski, nigdy nie plotkował.

FILIP BAJON, REŻYSER FILMOWY

Spędziliśmy ze Zdzisławem piękny tydzień w Sopocie. Na zaproszenie festiwalu Dwa Teatry zasiadaliśmy w jury i tam go najlepiej poznałam. Zamknięci długie godziny w małym pokoiku, oglądając spektakle telewizyjne, gadaliśmy, śmialiśmy się, żartowaliśmy. Okazał się świetnym kompanem. A jednocześnie widać było, że teatr jest dla niego czymś bardzo ważnym. Jeśli chodzi o kino, to nasza wrażliwość była różna. Nie zawsze się z nim zgadzałam. Interesowały nas inne rzeczy. Może dlatego jego analizy filmowe nie budziły mojego entuzjazmu.

AGNIESZKA HOLLAND, REŻYSERKA

Był człowiekiem o szerokich zainteresowaniach kulturalnych, nie tylko krytykiem filmowym, ale i literackim, i teatralnym. Wykazywał się nie tylko znajomością tych dziedzin, ale szczególną oględnością w formułowaniu sądów. Starał się nie urazić nikogo, bo zdawał sobie sprawę, jakiego trudu wymaga tworzenie sztuki. Przeprowadził ze mną dwie rozmowy i zauważyłem wtedy, że cechowała go szczególna delikatność w zadawaniu pytań. Jako kierownik działu kultury przyczynił się do tego, że POLITYKA to jedno z ostatnich pism, które wciąż zajmuje się kulturą i poświęca jej sporo miejsca. Chwała jej za to. A mówić o tym tygodniku nie można bez niego. Na koniec, co mogę powiedzieć? Wobec śmierci jesteśmy bezradni, pozostaje nam tylko żal i pamięć.

WIESŁAW MYŚLIWSKI, PISARZ

Znaliśmy się trochę w pracasach. Z jakichś studenckich festiwali, on z „itd”, ja ze „Studenta”, panowała zrozumiała konkurencja, żeby nie powiedzieć wrogość warszawsko-krakowska, chociaż zawsze w ważnych sprawach można było się dogadać. Potem, w stanie wojennym, ze Zdzichem minęliśmy się w drzwiach POLITYKI. Ja odchodziłem, on przychodził. To był dziwny czas, wszyscy skłonni byli do moralizowania, wartościowania, co będzie lepiej, a co gorzej, dla Polski oczywiście, ale historia zakpiła z nas wszystkich kilka razy i zostało to, co najważniejsze: dobry film, mądry teatr, piękna muzyka. I to, co się sensownego o tym napisze. Zdzich to wiedział i tego się trzymał.

Spotykaliśmy się potem często na premierach w teatrze, co budziło zdziwienie, że krytyk filmowy, za jakiego uchodził, tak intensywnie interesuje się teatrem i zawsze ma coś naprawdę ciekawego do powie-

zenia. Nie wymądrzał się przy tym, nie dawał się zwodzić różnym sztuczkom i „idejkom”, jak mówił Witkacy, tylko zachowywał trzeźwy osąd tego, co widzi, ironię, ale przy tym rodzaj wrażliwości, na rzeczy istotne, właściwy przedstawicielowi niknącego gatunku polskiego inteligenta. Parę lat temu, kiedy szukałem kuratora Warszawskich Spotkań Teatralnych i nie chciałem iść utartą ścieżką festiwali branżowych, tylko myślałem raczej o kompetentnym teatromanie, erudycie, który byłby pierwszym warszawskim widzem, rozumiejącym oczekiwania najbardziej wymagającej publiczności w Polsce – zadzwoniłem do Zdzicha. Trudno sobie wyobrazić, że nie pogadamy już o teatrze, czyli o życiu i śmierci.

TADEUSZ SŁOBODZIANEK, DRAMATOPISARZ,
DYREKTOR TEATRU DRAMATYCZNEGO W WARSZAWIE

Jestem w takim wieku, że obserwuję ludzi już pod kątem nieprzejmujących wartości. I wśród znakomych polskich krytyków filmowych Zdzisław Pietrasik to był wyjątkowy człowiek, bo był szalenie życzliwy i zdroworozsądkowy w tym, co pisał. Nie ulegał zachwytom, które nadmuchiwały talenty jak balony do niewyobrażalnych rozmiarów. On znał miarę i wiedział, co jest inteligentne i prawdziwe w kinie. Zdzisio był życzliwym, inteligentnym, dowcipnym człowiekiem. Pamiętam go z popremierowych spotkań, z festiwali filmowych, z Gdyni. Buchały od niego wtedy zawsze ciepło i optymizm.

JERZY GRUZA, REŻYSER I SCENARZYSTA

Spotkaliśmy się w „itd”, które w tamtym czasie było pismem wyzwolonym i oryginalnym. Znalezienie wąziutkiej drogi między głosem zdolnych i wolnych dziennikarzy a ograniczeniami pisma wydawanego przez partyjny koncern RSW było sztuką. Zdzisław, jak wspominają ówcześni koledzy, „potrafił zapanować nad całą tą artystyczno-publicystyczną erupcją”. Pismo miało wiernych czytelników. Okazało się, że nie tylko w kraju. W sławetnym liście KC KPZR do KC PZPR z 5.06.1981 wśród wrogów socjalizmu wymienione były: POLITYKA, „Gazeta Krakowska” i... „itd”. Były więc wezwania do KC, twarde rozmowy, reprimendy i decyzja rozpaczy Zdzisława – dość dziennikarstwa, wyjazd w Bieszczady i zajęcie się wypalaniem drewna. Wyjechał, ale na szczęście dla prasy i kultury wrócił po trzech dniach i uznał, że to jednak nie jest praca dla niego.

W jednym ze swoich politycznych tekstów napisał: „Myślę, że dzisiaj przy ustalaniu linii podziału kryteria klasowe i ideologiczne odgrywają mniejszą rolę. Raczej liczą się tylko kryteria etyczne. Bo naprawdę jedni ludzie mają charakter, a inni nie, jedni są uczciwi, a drudzy zwyczajnie suże”. Tak. Zdzisław miał charakter. Był uczciwym dziennikarzem, porządny facetem. Dobrym Człowiekiem.

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI, PREZYDENT RP,
REDAKTOR NACZELNY „ITD” W LATACH 1981–83

Zdzisław był człowiekiem niezwykle serdecznym i życzliwym. Spotkania i rozmowy z nim o różnych wydarzeniach w kulturze były zawsze radosne, bo o sztuce i artystach mówił *con amore*. Jednocześnie był samotnikiem. Chodził swoimi drogami. Lubił obserwować świat i ludzi, może nawet bardziej niż oglądać filmy. W ogóle mam wrażenie, że jego światem była literatura. Ilekroć się spotykaliśmy, pytałam: Zdzisio, co warto przeczytać? A on podrzucał mi coś ciekawego. W mojej bibliotece jest więc kilka książek, w których zakłęta jest część jego świata i zawsze mogę do niego zajrzeć... Dziękuję Ci, Zdzisio.

GRAŻYNA TORBICKA
Redakcyjne pożegnanie Zdzisława Pietrasika na s. 100.



© REUTERS/FORUM

Wojna obywatelska o chleb i zasady

Wenezuelczycy wypowiadają posłuszeństwo prezydentowi Maduro.

Rozbity na kawałki pomnik Hugo Cháveza w miasteczku Villa del Rosario na zachodzie Wenezueli to obrażenia symboliczne. Te realne to 37 ofiar śmiertelnych, ponad 700 rannych i kilkaset osób w aresztach: taki jest dotychczasowy bilans masowych demonstracji trwających w tym kraju już od ponad miesiąca. Protesty zaczęły się po tym, jak pod koniec marca kontrolowany przez obóz rządowy Trybunał Konstytucyjny próbował odebrać uprawnienia legislacyjne parlamentowi zdominowanemu przez opozycję. Choć pod presją opinii publicznej sędziowie wycofali się z tej decyzji, to manifestacje nie ustają, a wychodzący na ulicę domagają się dymisji prezydenta Nicolása Maduro i przyspieszonych wyborów prezydenckich – zmianę głowy państwa popiera w sondażach 80 proc. Wenezuelczyków, wśród nich wielu wciąż określających się jako chawiści.

Wściekłość obywateli napędza stale pogłębiający się kryzys ekonomiczny – w zeszłym roku gospodarka Wenezueli skurczyła się o 18 proc., bez pracy jest co czwarty mieszkaniec kraju, inflacja wynosi 800 proc. i wedle wszystkich prognoz do przyszłego roku jeszcze wzrośnie, w sklepach brakuje podstawowych produktów, normą są braki w dostawie prądu. Maduro winą za problemy obarcza spisek międzynarodowej finansjery, która chce obalić jego rząd, a w odpowiedzi na demonstracje zapowiedział właśnie zwołanie zgromadzenia konstytucyjnego, które uchwali nową ustawę zasadniczą. Ale do jego składu planuje zaprosić wyłącznie swoich zwolenników – można więc zakładać, że na ulice Caracas spokój wróci w nieprzekład.



© REUTERS/FORUM

Japonia zrywa pacyfę

U nas prezydent zapowiada referendum w sprawie zmian w konstytucji, a w Japonii w 70. rocznicę jej przyjęcia premier **Shinzo Abe** oświadcza, że to najlepszy moment na napisanie

japońskiej ustawy zasadniczej od nowa. Abe chce np. zagwarantowanego konstytucyjnie prawa do bezpłatnych studiów. Ale główny bój toczy się o prawo do obrony, prowadzenia wojny i możliwość zbudowania regularnej armii, której dziś japońska konstytucja, narzucona po wojnie przez okupujących Japonię Amerykanów, nie przewiduje. Pacyfistyczna konstytucja miała zapobiec odzywaniu japońskiego nacjonalizmu. Jednak Abe nigdy nie ukrywał, że obecną konstytucję uważa za groźną dla bezpieczeństwa kraju i dopóki rządzi, będzie robił wszystko, żeby ją zmienić.

Ale ani Abe, ani rządząca Partia Liberalno-Demokratyczna nie mają ostatnio dobrej prasy. Oskarżenia o powiązania

Brexitowe porachunki

Pierwsze rozmowy o Brexicie bez przyjaznej atmosfery.

Złe emocje wokół Brexitu wymknęły się spod kontroli w zeszłym tygodniu. Po ujawnieniu przez „Frankfurter Allgemeine Zeitung” burzliwego przebiegu spotkania z szefem Komisji Europejskiej brytyjska premier Theresa May zarzuciła drugiej stronie przeciek i ostrzegła przed ingerowaniem w kampanię przed wyborami do Izby Gmin. A według niemieckiego dziennika podczas spotkania obie strony eskalowały żądania: Brytyjczycy wrócili do straszenia zerwaniem rozmów i „twardym” Brexitem; Unia podbiła rachunek wyjściowy do 100 mld euro.

May takie przecieki mogą jednak przynieść dodatkowe głosy w przyspieszonych wyborach 8 czerwca. Jej antybrukselską retorykę podchwyciły już zresztą tabloidy na Wyspach. Ale Unia zdaje się nie kupować wersji suflowanej przez część doradców May, że to tylko poza na użytek kampanii. Bruksela zaostrza warunki Brexitu. 29 kwietnia Rada przyjęła założenia instrukcji negocjacyjnych, 22 maja będą gotowe szczegóły. Z nieoficjalnych informacji wynika m.in., że Bruksela będzie się domagać od Londynu składek na dopłaty rolnicze do 2020 r. włącznie oraz nie uzna brytyjskich udziałów w należących do Unii nieruchomościach. Natomiast rozpoczęcie negocjacji w sprawie przyszłej umowy handlowej będzie możliwe dopiero po zaobserwowaniu przez kraje Unii „wystarczającego postępu” w rozmowach wyjściowych, co oznacza pełną uznanie w sprawie, która dla Londynu jest kluczowa.

Premier May, żywiąc się na Unii przed krajowymi wyborami, powinna pamiętać, że poprzednik również chciał użyć „złej Unii” w lokalnych porachunkach. I nie ma go już w polityce.

ze skrajnie nacjonalistyczną organizacją Moritomo Gakuen, która w zeszłym roku nabyła od rządu za bezcen działkę budowlaną, zamieszanie w transakcję słynącej z radykalnie nacjonalistycznych poglądów pani minister obrony, a także oskarżenia wobec żony premiera, która miała wręczyć jednemu z urzędników łapówkę – wszystko to sprawiło, że premier jest na cenzurowanym, a jego partia tylko w ciągu jednego dnia straciła 10 proc. poparcia. Jednak w kwestii zmian w konstytucji po raz pierwszy od dawna więcej jest zwolenników niż przeciwników. Coraz więcej Japończyków uważa bowiem, że północnokoreańskie próby jądrowe czy rosnąca agresja Chin są zbyt wielkim zagrożeniem, żeby nadal hołdować pacyfizmowi.

Tajemnice rodziny Putinów

Wiadomości o Ludmile Szkrebniowej, dawnej stewardesie Aeroflotu, poznanej i poślubionej w 1983 r. w Leninogradzie przez Władimira Putina (zanim jeszcze zajął się działalnością szpiegowską w Niemczech), zawsze były starannie dozowane. Równy 30 lat później pierwsza prezydencka para, ni stąd, ni zowąd, ogłosiła w przerwie baletu „Esmeralda”, że ich związek dobiegł końca. Odtąd o Ludmile, „osobie ciepłej i bardzo wrażliwej”, która „kochała, lecz nie była kochana” (to słowa bliskiej powiernicy), mówiło się publicznie jeszcze mniej. Krążyły nawet pogłoski, że przebywa w klasztorze. Rok temu tabloid „Sobiesiednik” wytropił, że Ludmiła nazywa się teraz Oczeretna, po nowym mężu Arturze Oczeretnym, jak podano w tonie sensacji: o 20 lat od niej młodszym. Teraz portal OCCRP, zajmujący się śledzeniem przestępczości zorganizowanej i korupcji, wpadł na trop pałacyku willowego



© AN

Souzanne, we francuskiej miejscowości Anglet koło Biarritz, nabytego niedawno przez małżonków, a wartego 7,5 mln dol. Oczeretny kieruje Centrum Rozwoju Komunikacji Międzyludzkiej, organizacją non profit, a wcześniej-
sze biznesy kończyły się

przeważnie niepowodzeniem. Skąd ma zatem takie środki? Na to pytanie trudno będzie uzyskać oficjalną odpowiedź. Podobnie zresztą jak w kwestii aktualnego stanu cywilnego prezydenta Putina.

Także o dwóch córkach, Marii i Katerinie, jakie prezydent ma z Ludmiłą, wiadomo nie za wiele. Według raportu Reutersa Katerina, dziś Tichonowa, jest żoną Kirilla Szamałowa, syna Nikołaja Szamałowa, wieloletniego przyjaciela Putina i udziałowca Banku Rossija. I – według tego samego źródła – oboje dysponują miliardowym majątkiem. Katerina prowadzi szereg działań związanych z Uniwersytetem Moskiewskim (gdzie kończyła orientalistykę) i jego finansami. Również Maria, obecnie Faassen, z wykształcenia endokrynolog, pozostaje wierna nauce, jest autorką kilku poważnych prac w tej dziedzinie. I też pewnie nie jest szarą myszką. Mąż Jorrit Joost Faassen – podaje Reuters – był do niedawna zastępcą dyrektora Gazprombanku. Ale widać przestał, bo oficjalny ślad zaginął.

Plajta Bogatego Portu

Portoryko (z hiszp. Bogaty Port) zbankrutowało. Co prawda to zamorskie terytorium USA, w przeciwieństwie np. do amerykańskich miast, formalnie bankructwa ogłosić nie może, ale szuka ochrony w sądzie federalnym, aby zachować kontrolę nad spłatą długów. Wyspa w nich tonie, jej rząd powinien oddać lub wypłacić przeszło 120 mld dol. w sprzedanych obligacjach i zaległych emeryturach.

Kłopoty Portoryko zaczęły się wiele lat temu, kiedy w Waszyngtonie podjęto decyzję o zwolnieniu z podatków portorykańskich obligacji i przyznaniu zwolnień po-



© REUTERS/FORUM

datkowych firmom inwestującym na wyspie. Okazyjne papiery były chętnie kupowane m.in. przez fundusze inwestycyjne z Wall Street, uzyskane pieniądze wyspa przeznaczała na działalność sektora publicznego, z czasem się od nich uzależniając. Podobnie nieciekawie skończył się okres ulg dla prze-

mysłu, który po zakończonych wakacjach podatkowych po prostu się wyprowadził.

Dziś, po trwającej od dekady recesji, 46 proc. z 3,4 mln mieszkańców żyje poniżej granicy ubóstwa. Budżet jest w rozpłyce, zamknięte zostanie blisko 200 szkół. Kto ma ochotę i odwagę, wyjeżdża, głównie na pobliską Florydę, obecna fala emigracji też liczona jest w setkach tysięcy. Zwijają się biznesy, spadają pensje, rosną podatki, ceny w sklepach, rachunki za wodę i prąd, nie ma za co reperować infrastruktury. Choć w tarapatkach są obywatele amerykańscy (co prawda bez prawa głosu – prezydenta i członków parlamentu mogą wybierać, jeśli przeniosą się na właściwe terytorium Stanów), prezydent Donald Trump nie ma ochoty im pomóc.

Kazachstan zmienia alfabet

Po niecałych 100 latach Kazachowie rezygnują z cyrylicy.

Język kazachski pisany alfabetem łańcińskim? Tak będzie, skoro prezydent Nursułtan Nazarbajew polecił rządowi opracowanie harmonogramu porzucenia cyrylicy. Do końca tego roku, po konsultacjach z naukowcami i przedstawicielami społeczeństwa, powstanie jednolity standard nowego alfabetu i grafiki w alfabecie łańcińskim. Odejście od cyrylicy to prawdziwa rewolucja. Potrzebni są specjaliści, by uczyć nowego alfabetu, trzeba wydać nowe podręczniki dla szkół i uczelni. Wreszcie, przestawić na łańcinkę całą administrację państwową, która często ma kłopot z kazachskim. Katastrofy nikt się jednak nie spodziewa, ponieważ wcześniej na alfabet łańciński przeszedł np. Azerbejdżan, Turkmenistan, Uzbekistan i Mołdawia czy kraje bałtyckie i operacja się powiodła. Astana próbowała również, 10 lat temu, ale koszty wydawały się zbyt wysokie i plan odłożono.

Kazachski to język ojczysty 11 mln osób, także w Afganistanie, Uzbekistanie, Chinach, Turcji, Mongolii i Rosji. Należy do grupy języków kipczackich. Dziś jest językiem państwowym, wykładowym i literackim. Ale przez lata rusyfikacji został zepchnięty głównie na wieś. Miasta mówiły po rosyjsku. Początkowo zapisywany był znakami arabskimi. W XX w. – alfabetem tureckim; cyrylica obowiązuje od końca lat 30. ubiegłego wieku i wiąże się z panowaniem rosyjskim. Teraz okazało się, że przeszkadza w zbliżeniu z Zachodem, ma aż 42 znaki, jest też kłopotliwa dla użytkowników internetu. Łańcinka jest synonimem nowoczesności. Co na to Kreml? Rosjanie stanowią 25 proc. ludności Kazachstanu i życie bez cyrylicy może być dla nich trudne. Ale może właśnie na tym polega gra Nazarbajewa, żeby pokazać Moskwie, kto tu rządzi.



КАЗАКСТАН ҰАТЫК БАҢКІ



© EAST NEWS



Duda chce wejść

Czym jest prezydencka propozycja referendum w sprawie konstytucji? Solową akcją **Andrzeja Dudy** usiłującego uwolnić się od kabaretowego wizerunku „Adriana”? Balonem próbnym wysłanym przez prezesa PiS? Sposobem na wygranie przez PiS wyborów samorządowych? Próbą zmiany konstytucji? Może wszystkim naraz?

EWA SIEDLECKA

Pewne jest jedno: PiS nic nie ryzykuje. Bo jakkolwiek byłby wynik referendum – może posłużyć jego interesom. Inicjatywa prezydenta Dudy ogłoszona 3 maja, w święto konstytucji, spowodowała zamieszanie w samym PiS – politycy to odcinali się od niej, to znów twierdzili, że jest to inicjatywa partyjna. A szef wszystkich szefów, Jarosław Kaczyński, milczał.

Zmiana konstytucji była dla PiS strategicznym celem od początku powstania tej partii. I wcześniej, gdy działała jako Porozumienie Centrum. Konstytucja z 1997 r., oparta na wartościach zachodniej cywilizacji: wolności, godności, równości i demokracji – z trójpodziałem władzy i rządami prawa – zawsze uwierała prawicę marzącą o Katolickim Państwie Narodu Polskiego. Dlatego jest możliwe, że w PiS dawno referendum rozważano, a prezydent Duda wyskoczył przed szereg, ogłaszając je jako własną inicjatywę. Dzięki temu uzyskałby wpływ na pytania referendalne, by szukać poparcia dla zwiększenia swojej władzy lub ocalić dzisiejsze prezydenckie kompetencje. Bo w obecnej sytuacji politycznej PiS wolałby tzw. system kanclerski niż prezydencki.

Teraz Jarosławowi Kaczyńskiemu marzy się wszechwładza premiera. Niekoniecznie dla siebie. Łatwiej jest sterować jednym ośrodkiem władzy wykonawczej niż dwoma. Powyborcze spekulacje, że władza podzieli się na: „Duży Pałac”, „Mały Pałac” i „Nowogrodzką”, okazały się chybione. Władza jest jedna, i ma ją prezes. Zmiana konstytucji mogłaby ten stan rzeczy zalegalizować.

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Referendum może być ogłoszone na wniosek Sejmu, Senatu, Rady Ministrów i co najmniej pół miliona obywateli. Lub na wniosek prezydenta właśnie, ale za zgodą Senatu. Więc prezydent Duda i tak byłby w formułowaniu pytań uzależniony od senatorów. A ci od Jarosława Kaczyńskiego. Tak czy inaczej, inicjatywa Andrzeja Dudy jest pod pełną kontrolą prezesa.

Sam prezydent Duda ma na sumieniu przynajmniej kilka grzechów wobec obecnej konstytucji. Urzędowanie zaczął od jej złamania, odmawiając przyjęcia ślubowania od wybranych przez poprzedni Sejm sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Potem przywłaszczył sobie kompetencje sądu i uniemożliwił prawomocne osądzenie Mariusza Kamińskiego za prowokację przeciwko Andrzejowi Lepperowi (tzw. afera gruntowa). Prezydent ułaskawił go, zanim został prawomocnie uznany za winnego. Podpisywał wszystkie ustawy „naprawcze” o Trybunale Konstytucyjnym mimo zgodnych i bardzo krytycznych opinii środowisk prawniczych, także Komisji Weneckiej i Komisji Europejskiej. Nie posyłał do Trybunału przed podpisaniem np. ustawy o prokuraturze, inwigilacyjnej, antyterrorystycznej, o służbie cywilnej, o mediach publicznych, o ziemi – i szeregu innych, co do których nawet podległe PiS służby prawne Sejmu i Senatu wyrażały wątpliwości konstytucyjne.

Wybrał i mianował prezesem TK Julię Przyłębską, mimo że złamano procedurę (ustanowioną przez PiS) podczas wyłaniania jej kandydatury. Więc troska prezydenta Dudy o jakość polskiej konstytucji wydaje się podejrzana. Choć z drugiej strony – rozumiała. Może powiedzieć, że łamie dzisiejszą konstytucję, bo jej nie akceptuje. Dlatego chce nowej, którą „mógłby” szanować. A ponadto ustawienie się na czele projektu tworzenia nowej ustawy zasadniczej ma – w opinii prezydenta i zapewne jego otoczenia – dodawać mu znaczenia i politycznej wagi, na których nadmiar Andrzej Duda (w „Uchu prezesa” od miesięcy usiłujący wejść do gabinetu szefa, czyli do prawdziwej polityki) nie może narzekać.

PiS przygotował dotąd dwa projekty nowej konstytucji: w 2005 i 2009 r. Obie zmierzają do zmiany ustroju. Przede wszystkim do zagwarantowania supremacji władzy wykonawczej nad ustawodawczą i sędziownią. I do zadekretowania nauki społecznej Kościoła katolickiego. Ale partia Kaczyńskiego nie zdobyła nigdy w parlamencie większości koniecznej do zmiany konstytucji.

Co PiS może osiągnąć przez referendum, w którym zada pytania o kształt przyszłej konstytucji? Nie ma większych szans, by referendum było ważne, tzn. by frekwencja osiągnęła 50 proc. uprawnionych do głosowania. To udało się w historii III RP tylko raz: w referendum o przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej (ponad 77 proc. głosów „za”). Tylko referendum z frekwencją minimum 50 proc. jest „wiążące” dla parlamentu (co to znaczy w praktyce – poniżej).

Można podbić frekwencję pytaniami. Środowiska kościelne i radiomaryjne zmobilizować pytaniami o „ochronę życia od poczęcia do naturalnej śmierci”, zakaz związków nieheteroseksualnych czy status religii państwowej dla Kościoła rzymskokatolickiego. Można też dopisać kwestie socjalne, np. wiek emerytalny, płacę minimalną czy „500 plus”. Frekwencję mogą też podbić przeciwnicy zmiany konstytucji. I referendum byłoby „wiążące”. Tyle że to nic nie znaczy, bo nie ma jak wyegze-

kwować od parlamentu, by uchwalił zmiany, które wynikają z odpowiedzi na referendalne pytania. Nie istnieją sankcje prawne wobec parlamentarzystów za ich nieuchwalenie.

Prezydent już zapowiada, że pytań referendalnych byłoby sporo. Mogą być sformułowane w sposób tak ogólnikowy, że nie będzie wiadomo, co znaczy odpowiedź (np. pytanie o „rolę Senatu”, zamiast konkretnego: np. „czy znieść Senat?”, czy o „wzmocnieniu kompetencji prezydenta”). Jak miałby Sejm taką ogólnikową odpowiedź „wykonać”?

Poza tym na jedno pytanie odpowiedzi mogą być twierdzące (np. o „500 plus”) na inne – negatywne. Albo wyborcy będą sobie wybierać pytania, na które odpowiedzą. I jak liczyć taki głos do frekwencji? Może wystarczy frekwencją przy jednym pytaniu, by całość referendum uznać za „wiążące”? PiS może tym dowolnie manipulować, realizując własne interesy.

Gdy już bowiem otworzy się proces zmiany konstytucji, można dodać do niej rozwiązania wcześniej niekonsultowane w referendum. Metodą „wrzutki” poselskiej. I to jest jeden z powodów, dla których PiS może chcieć referendum: pretekst do zmiany konstytucji.

PiS może czerpać korzyści nawet z referendum, w którym nie będzie wymaganej frekwencji: uzyska argument za zmianą konstytucji i może przedstawić wynik referendum jako „demokratyczną legitymizację” do łamania obecnej konstytucji. Bo do referendum pójdzie żelazny elektorat PiS i poprze ustrojowe pomysły swojej partii: likwidację trójpodziału władzy, niezależności sądownictwa i kontroli konstytucyjności prawa, centralizację władzy przez rozbudowę i upartyjnienie administracji państwowej, mediów publicznych, ograniczenie samorządności i upaństwowienie organizacji pozarządowych. Wtedy zaś PiS powie: oto głos suwerena! Na argument, że do referendum poszło np. tylko 20 proc. uprawnionych, PiS odpowie, że owe 20 proc. to w istocie 100 proc. aktywnych politycznie i społecznie „Polaków”. Każdy mógł pójść głosować, a widocznie reszcie jest po prostu wszystko jedno, więc ich głos się nie liczy.

Referendum – bez względu na wynik – może być pretekstem do powołania komisji konstytucyjnej, która będzie jak zespół smoleński Antoniego Macierewicza: nic nie ustali, ale zamąci w głowach i posieje propagandę. Doskonałe przygotowanie do następnych wyborów parlamentarnych.

Referendum – bez względu na wynik – może być pretekstem do powołania komisji konstytucyjnej, która będzie jak zespół smoleński Antoniego Macierewicza: nic nie ustali, ale zamąci w głowach i posieje propagandę. Doskonałe przygotowanie do następnych wyborów parlamentarnych.

Kampania referendalna pokryje się z kampanią wyborczą do samorządu. A to pozwoli na transfer publicznych pieniędzy przeznaczonych na referendum do kampanii wyborczej PiS.

W ramach kampanii promującej referendalne pytania PiS może lansować swoich kandydatów do samorządów, którzy staną się „twarzami” dwóch kampanii: konstytucyjnej i samorządowej. Takiej konkurencji nie wytrzymają obywatelskie ruchy lokalne, których w kampanii samorządowej PiS boi się bardziej niż partii. Podobno rozważa nawet zmianę ordynacji wyborczej, by umożliwić tworzenie komitetów wyborczych innych niż partyjne.

Wreszcie negatywny dla PiS wynik referendum nie przekreśli szans na zmianę konstytucji. Można ją przecież przyjąć w głosowaniu na Sali Kolumnowej lub w jakimś hotelu konferencyjnym pod Warszawą, gdzie marszałek Kuchciński nieoczekiwanie zwołał posiedzenie. Marszałek według regulaminu Sejmu może wszystko. Dano mu władzę niemal monarszą. Widać to było w grudniu, przy głosowaniu w Sali Kolumno- ▶

Troska prezydenta Dudy o jakość polskiej konstytucji wydaje się podejrzana. Choć z drugiej strony – rozumiała. Może powiedzieć, że łamie dzisiejszą konstytucję, bo jej nie akceptuje. Dlatego chce nowej, którą „mógłby” szanować.